

AFISZ

TEATRALNY.

Kraków 21 maja

Czytamy w *Wieku*.

„Odebraliśmy pismo następujące:

Szanowny Redaktorze! Z powodu wzmianki w Nr. 104 *Wieku* o autorze „Niewinnych“, pozwól mi Pan za pośrednictwem swego piśma prosić wszystkich łaskawych a podejrzliwych sprawozdawców, ażeby w nazwisku autora pomienionego dramatu raczyli nie odczytywać żadnego innego nad to, którem on się sam zameldował.

Władysław Okoński.

* * *

We czwartek przyjaciele i znajomi hr. Al. Fredro (syna dali dla niego wspólny obiad z powodu pierwszego tutaj przedstawienia *Wielkiego Bractwa*. Wieczór hrabia

Artur Potocki z tego samego powodu licznie ugościł grono.

* * *

Z powodu ucieczki i oszustwa popełnionego przez pannę Menkes, *Kronika* która jak się zdaje z braku materiałów, bardzo się zajmuje teatrem, umieściła artykuł który jej samej musiał się wydać dość dziwnym na drugi dzień, po rozpatrzeniu się w sprawie, skoro napisała później inny stawiający całą kwestyę na właściwszym gruncie. Tak jest, wobec nieuczciwości i oszustw aktorów, dyrekcje w Galicyi są bezbronne a krakowska najwięcej jest na szkody wystawiona, gdyż dwie granice znajdują się tuż koło Krakowa. Jeżeli *Kronika* radziła dyrekcji ukrócić złe, to winna była wskazać środki. Wszystkich możebnych używała w podobnych wypadkach dyrekcja, nie jednokrotnie lecz bezowocnie. Dyrekcja ma już kilkanaście procesów w tych sprawach wygranych,

a oprócz 25 złr. które dobrowolnie odesłał p. Zboiński wskutku takiego procesu, jeszcze centa nie wydobyła, a poniosła znaczne koszty procesów. Prawodawstwo, słusznie mówi w drugim artykule *Kronika*, jest niedostateczne; trzeba je zmienić lub zaprowadzić kartele między dyrekcjami jak w Niemczech. Ale Polacy to nie Niemcy, a więc dajmy pokój kartelom, a pukajmy o naprawę prawodawstwa i zwrócenie uwagi prawodawcy na ohydne nasze stosunki teatralne; nacierajmy na egzekutorów wygranych procesów, którzy mogliby energiczniej brać się w tych wypadkach do rzeczy. Nie idzie tu o dyrektorów, ale o teatralną o ich byt zagrożony nieuczciwością i oszustwem. Głównymi jednak karcicielami winny być w tych wypadkach — publiczność i opinia publiczna.

FELIKS BENDA.

Artysta dram. i reżyser teatru krakowskiego.

(Ciąg dalszy).

W początkach Benda wcale na siebie nie zwracał uwagi ani publiczności, ani tak bystrego dyrektora jak Chełchowski. Ale bo też Benda miał do walczenia z wrodzonymi trudnościami, nad którymi ostateczne jego zwycięstwo, najwymowniej świadczy o prawdzie naszego założenia, że ten aktor tylko siłą pracy został artystą. Najgłówniejszą z tych przeszkód była trudna wymowa, z tą musiał najdłużej walczyć, nie pozbył się jej aż dopiero przy samym niemal końcu swego zawodu; jeszcze za dyrekcji hr. Skorupki, nieraz wiele mu ona szkodziła a znany z wesołego i niezrównanego humoru dyrektor, mawiał często „jutro będzie ślota bo Benda belkocze“ twierdził bowiem żartobliwie, iż tylko na wilgoć płatał mu się język i że tym sposobem miał z niego nietylko wybornego artystę ale także i barometr. Lecz Benda z wzorową wytrwałością walczył zawsze i w każdej roli z tą trudnością wymowy, a dodać trzeba, że nieraz zwiększała ją konieczność uczenia się pospiesznie i w kilku zaledwie dniach sążnistych, kolosalnych ról; gdy zaś łaskawsze i zgodniejsze z prawdziwą sztuką, nastaly czasy, czasy licznych prób i wyuczania się ról, owa wada Benda stawała się mniej rażąca i łatwiej jemu samemu przychodziło mu z nią walczyć. Drugą trudnością, była zbyt mała skala głosu, lecz głosu nader miłego i sympatycznego. To ograniczenie skali głosu, który naturalnie i swobodnie po za pewien ton nie mógł się ani zniżać, ani podnosić, przeznaczało Bendego do pewnego rodzaju ról a przy owym sympatycznym organie, tak dobrze nam znanym, czyniła go obok innych zalet, wybornym artystą w tym pewnym rodzaju, lecz nasuwała mu olbrzymie trudności w czasach, w których aktor krakowski musiał wszystko grać bez względu na jego artystyczną osobistość, a ze względu tylko na kasę teatralną.

Jak walczył i jak po części zwalczył Ben-

da te wrodzone przeszkody stojące na drodze do prawdziwego artyzmu zobaczymy.

Po objęciu dyrekcji teatru krakowskiego przez Pfeifra Benda, zaczął wybitniejsze zajmować stanowisko, ale wtedy mniej może w skutku znaczących postępów, jak z przychylności dyrektora, który umiał ocenić jego pilność, pracę i oddanie się zupełne obowiązkom. W owej jednak epoce nie mamy jeszcze do zapisania żadnej prawdziwie artystycznej kreacji, takiej przynajmniej, która utkwiła w pamięci ogółu. Przecież już wtedy Benda odznaczał się jako pełen życia, prawdy i werwy parobczak krakowski w sztukach ludowych, jako ów parobczak, którym miał później na scenie stać się niezrównanym, niedosiągniętym prototypem. Jedno tylko przedstawienie z owych czasów zapamiętaliśmy, które zapowiedziało w przyszłości dwa obiecujące, a następnie tak ważne i przeważne dla sceny krakowskiej talenty; przedstawienie *Mazepy* Słowackiego, w którym p. Hoffman po raz pierwszy wystąpiła jako Amelia, a Benda jako Mazepa. Aczkolwiek później Benda znacznie zmienił i wydoskonalił tę rolę uroczą, przecież już wtenczas dowiódł, że ten kierunek będzie mu właściwym i najodpowiedniejszym. Już w onym *Mazepie* Bendego, było wiele lekkości, swobody, elegancji, polotu młodzieńczego i werwy, zalotności, dobrego smaku i rycerskości. W ustępach bardziej uczuciowych gra była słabszą bo środki głosu nie dopisywały, ale przecież był to już ten Mazepa, który miał stać się kiedyś najlepszym i nie dorównanym za naszych czasów na scenie polskiej. Tak więc Benda zajaśniał na gruncie prawdziwie i seryo artystycznym w najlepszej, najsceniczniejszej i najwięcej wykończonej tragedji Słowackiego, a tem samem w najlepszej i najpierwszej tragedji polskiej, zabłysnął obok rozpoczynającej swój zawód artystki, z którą miał przez długie lata wspólnie pracować i wspólnie utrzymywać dobrą sławę teatru krakowskiego. Dwa te talenty rozpoczynające razem, po raz pierwszy może na seryo, zawód artystyczny w najznakomitszej tragedji polskiej, rozwijały się następnie niemal równolegle i poniekąd wzajemnie dopełniały się na tutejszej scenie; tak, iż jak to później zobaczymy, nieraz

stanowiły jednolitą nierozdzieloną artystyczną całość. Nie można się dziwić jeżeli z onych czasów prócz *Mazepy* nie zapiszemy nic, lub prawie nic w rachunku rzetelnie artystycznym Bendy. Talent jego i prawdziwie artystyczne zasoby nie były rozwinięte jeszcze, a przeciwnie były i musiały być pod wielu względami spaczonymi. Wtedy to bowiem bez względu na usposobienie i talent aktora kazano mu grać najróżnorodniejsze i najniewłaściwsze role; były to nareszcie czasy w których sążnistych ról uczono się we dwa dni, to jest, że nie uczono się ich wcale, lecz mówiono je za suflerem; a największe pięcioaktowe sztuki grywano na tutejszej scenie po dwóch próbach. Próby, które są podstawą i początkiem dobrego, poprawnego teatru, uważane były co najwięcej za złe konieczne, nie wiedziano wtedy, że bez prób z najlepszymi artystami nie może być dobrego teatru i że zmiernymi przy należytem wyuczeniu i wypróbowaniu można mieć przyzwoity teatr. Słowem barbarzyńskie wyobrażenia i barbarzyńska praktyka panowały wszechwładnie w stosunkach teatralnych. Ofiarą ich był Benda i talent jego; grając dużo i na prędcę, przywykł nie uczyć się, dokładnie ról i mówić za suflerem. Nie umieć roli! Niechże raz nareszcie zrozumieją aktorzy i zechcą uwierzyć, że to największy, najgłówniejszy grzech, najfatalniejszy błąd! Jeżeli pamięć nie jest panią roli, nie ma co mówić o dobrej grze. Tam gdzie się słucha suflera, choćby się miało największy talent i największy spryt, musi się pomijać cienia i odcienia, z których przecież składa się każda poprawna i szlachetna gra. Wiemy doskonale że Żółkowski, Królikowski, Rychter, Bakałowiczowa itd. itd. obdarzeni byli niepospolitemi talentami, ale zaręczyc możemy, że większą część powodzenia i znakomitych rezultatów do jakich doszli w sztuce zawdzięczają, sumiennemu dokładnemu pedanckiemu wyuczaniu się ról od początku do końca zawodu. Tem zaczęli się odróżniać od zgrai aktorów, tem doszli do poprawności następnie do doskonałości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Abonament. Nr. 57.



Nr. porządkowy 125.

TEATR KRAKOWSKI.

W Sobotę dnia 22 Maja 1875 r.

Po raz drugi:

Komedya w 5 aktach oryginalnie prozą napisana przez Jana Aleksandra hr. Fredrę:

WIELKIE BRACTWO

OSOBY:

Pan Józef Wipski — — — — —	Pan Szymański.
Genowefa, jego żona — — — — —	Pani Parżnicka.
Pan Michał Pački — — — — —	Pan Idziakowski.
Honorata, jego żona — — — — —	Panna Urbanowicz.
Pan Franciszek Lulewicz — — — — —	Pan Roman.
Zuzanna, jego żona — — — — —	Panna Heneman.
Reginald Traliński — — — — —	Pan Dłużewski.
Adolf Nolski — — — — —	Pan Podwyszyński.
Dr. Szmols — — — — —	Pan Eker.
Piotruś — — — — —	Pan Wojdałowicz.

Rzecz dzieje się w wód.

CENA MIEJSC: Łoża parterowa lub I^{go} piętra 6 złr. — Łoża drugiego piętra 4 złr. — Fotel w sześciu pierwszych rzędach 1 złr. 50 cent. — Krzesło 1 złr. — Krzesło w loży parterowej lub I^{go} piętra 2 złr. — Krzesło numerowane na Balkonie w pierwszych dwóch rzędach 1 złr., w następnych 80 cent., w dalszych 70 cent. — Parter 60 cent. — Galerya 30 cent.

Kasa otwarta rano od godziny 9 do 12, a po południu od godziny 3 w dzień przedstawienia.

Początek o godzinie wpół do ósmej.